

1886

Bardzo podobała mi się Orysia. Miała pełne, malinowe usta, śliczne rumieńce, długie włosy i piersi, od których nie mogłem oderwać oczu. Poprosiłem, żeby pokazała mi swoją szparkę. Zachichotała i zapytała: „a co mi za to dasz”? Nie namyślając się długo, powiedziałem, że krajcara. Zgodziła się. Pomknąłem do domu i podebrałem ojcu monetę z pugilaresu. Dałem jej, ona zaś zadarła spódnicę i opuściła majtki. Jak zaczarowany wpatrywałem się w to miejsce, jasne, różowe, pokryte drobnym puszkciem. Odruchowo wysunąłem rękę, aby dotknąć. „O, nie, nie!” – krzyknęła Orysia. „Jeśli dasz mi jeszcze jednego krajcara, to pobawimy się w medyka. Będziesz mnie badał, chcesz?” Oczywiście zgodziłem się i uszczupliłem zasoby ojca na jeszcze jednego krajcara. Schowaliśmy się do szopki, Orysia położyła się na plecach, obnażyła się i rozstawiła nogi. „Badaaj mnie, panie fizyk” – szepnęła. Dotknąłem. Była tam rozpalona i wilgotna. Rozchyliła sama szparkę i poprosiła, abym delikatnie wsunął tam palec i sprawdził, czy wszystko tam dobrze. Tak uczyniłem. Orysia zaczęła popiskiwać, niby to z bólu, cała drżała i dyszała głośno. A ja powolutku wsuwałem coraz głębiej palec. „A teraz obliż” – szepnęła. Oblizałem palec. Gęsta ciecz pachniała ładnie i smakowała jak woda z cukrem. Orysia nie patrzyła na mnie. Nie

zadając już więcej żadnych pytań i nie prosząc o zgodę, przypadłem ustami do jej rozpalonego sromu, zacząłem chciwie lizać, wsuwać język do szparki, delektować się jak najśłodszym owocem. Orysia jęczała. Na szczęście nie zabraniała mi kontynuować.

„Orysia!” – rozległo się nagle ze strony czworaków. To Paraska wołała córkę. „Ходи додому, швидко”^[3]. Orysia zerwała się, spojrzała na mnie zamglonymi oczyma. „Jutro pobawimy się w misia, co zlizuje ze mnie miód, chcesz?” – zapytała szybko. „Za dwa krajcary”.

Chciałem. Nazajutrz znów zabrałem ojcu pieniądze i bawiliśmy się w misia. Zamknęliśmy drzwi od szopy, zaparliśmy je od środka i Orysia się rozebrała. Kilka kropel miodu upuściła na każdą z piersi, następnie utworzyła z lejącego się miodu ścieżynę aż do krocza i tam również ulała trochę płynu. „Liż!” – zażądała. Rzuciłem się na nią jak wygłodniałe zwierzę. Lizałem i miętosilem jej wspaniałe, jędrne piersi, później, podążając miodową dróżką, zjeżdżałem językiem coraz niżej i niżej, aby w końcu zanurzyć usta i język w prawdziwy żar. Orysia odurzająco pachniała i smakowała miodem oraz swoją świeżą dziewczęcą urodą. W powietrzu unosił się upajający zapach lipowego kwiecia. Kiedy ciałem jej wstrząsnął dreszcz rozkoszy, spojrzała na mnie zmętniałym wzrokiem i nakazała przysiąc, że nikomu o tym nie powiem. Potaknąłem bez słowa i czekałem w napięciu, aby zaproponowała kolejną zabawę. I zaproponowała. Jej pomysłowość i wyobrażenia były bezkresne. Jednakże po

kilku dniach naszych beztroskich zabaw nadeszło straszne nieszczęście.

Paraska, sprząając mieszkanie, znalazła odkładane pieczołowicie przez Orysię krajcary. Zaczęło się od krzyków: „Кому ти украла гроші?^[4]” – wrzeszczała Paraska. Orysia milczała. Rozwścieczona matka zaczęła szarpać Orysię za włosy i huczeć coraz głośniej. Orysia pary z ust nie puściła. W końcu w ruch poszła trzepaczka do dywanów i tego bólu córka znieść już nie mogła. „Мацек мені дав”^[5] – zawyła Orysia. Paraska schwyciła córkę za rękę i powlokła do dworku. „Пане Юзеф! – krzyczała jeszcze z alejki prowadzącej do willi – треба поговорити!^[6]”. Siedziałem w swoim pokoju i powoli zacząłem sobie uprzytamniać, że nasza tajemnica wyszła na jaw. Po chwili zostałem wezwany do gabinetu ojca, gdzie już siedziała w fotelu roztrzęsiona Paraska, obok niej stała pochlipująca Orysia. „Dałeś Orysi dwanaście krajcarów?” – zapytał spokojnie ojciec. „Tak” – szepnąłem. „A skąd je miałeś?” – prawie bezgłośnie ciągnął ojciec. „Z pugilaresu pana ojca” – odparłem. Oczy ojca nabiegły krwią, twarz stała się purpurowa. „Czyli ukradłeś” – starał się mówić spokojnie, ale było widać, że z trudem tamuje wściekłość. „Widzicie, Parasko, że tu jeden jeno winowajca. Nie Orysia. Możecie odejść, a ja się tu z nim rozmówię”. Paraska cicho wymknęła się z gabinetu, ciągnąc za rękę oniemiałą Orysię.

„To niepodobna, aby sędzia miał syna złodzieja” – lodowato wycedził ojciec. „Jak widać, nie umiałem cię wychować, trafisz zatem tam, gdzie inni uczynią to lepiej” –

rzekł i zawiesił głos. „Do końca wakacji nie wyjdiesz z domu a od nowego roku szkolnego będziesz pobierał naukę w Gimnazjum Katolickim Ojców Bazylianów w Buczaczu. Do domu będziesz przyjeżdżał na święta i wakacje. A teraz zejść mi z oczów”. Zszedłem i do końca lata go nie ujrzałem.

Jak powiedział, tak i uczynił. Połowę lipca i cały sierpień siedziałem w domu. Ojciec nakazał, aby nikt do mnie nie przychodził, zezwolił tylko, aby Demko przynosił mi jedzenie dwa razy dziennie. Tęskniłem za Paraską i Orysią, wszelako Demko osładzał mi te ciężkie chwile aresztu domowego. Przynosił jedzenie, pocieszał mnie, wspierał na duchu, przytulał, przygarniał do piersi, głaskał po włosach. Gdy ojciec nie wracał na noc, zakradał się do mnie do pokoju i spał ze mną w łóżku. Opowiadał mi wszystko, co się dzieło na podwórzu ze szczegółami, aby choć trochę złagodzić poczucie osamotnienia. Gdy zostawał na noc, całował mnie w czoło i po oczach i kładł się do mnie tyłem, abym to ja wtulał go w siebie. Mimo, że był starszy, to jednak już wówczas dorównywałem mu wzrostem. A z czasem to ja przy nim zacząłem wyglądać jak mężczyzna.

Do Buczacza we wrześniu ojciec mnie nie zawiózł, a wyprawił mnie tam z Iwanem i Demkiem. Przekazali oni zakonnikom list polecający od ojca, pożegnali się i odjechali.

Szybko zrozumiałem, że ojciec najpewniej wykorzystał sposobność z krajcami, aby się mnie pozbyć. Pojąłem również, że gdyby mógł mnie wtrącić do więzienia, to by to uczynił. Musiał jednak zadowolić się jedynie tym katolickim

gimnazjum, które niewiele wszakże różniło się od zakładu karnego dla dorosłych. Budzili nas codziennie o 5.30, kazali się modlić (czego ja nie umiałem), śniadanie było głodowe, w szkole trzymali nas po osiem godzin, bito nas za najdrobniejsze przewinienie, przetrzymywano w kozie, gdzie zimą było zimno jak na ulicy. Codziennie było dużo ćwiczeń fizycznych i mnóstwo fizycznej pracy. Sami sprzątaaliśmy, przygotowywaliśmy posiłki, rąbaliśmy drwa na opał, czyściliśmy piece. Spaliśmy w salach dwunastoosobowych. Ja byłem jednym z najmłodszych. Reszta to byli umięśnieni młodzieńcy, którzy mówili basem i już się golili. Odnosiłem wrażenie, że gimnazjalistami byli wyłącznie chłopcy, których rodzice chcieli się pozbyć. Pochodzili z zamożnych rodzin i byli naprawdę zepsuci. Palili tytoń i pili przemycaną im do klasztoru okowitę. Bili się i przeklinali. Gdy akurat nic konkretnego nie robili, trzymali ręce w rozporkach i międlili swoje klejnoty. Nad młodszymi się znęcali. Musieliśmy wykonywać za nich najcięższą robotę. Nieraz płakałem do poduszki i często był to jedyny sposób, aby zasnąć. Od noszenia węgla, szorowania podłóg, przenoszenia za karę cegieł z kupki na kupkę, moje dłonie pokrywały się pęcherzami.

Ojciec nie wywiązał się ze swojej obietnicy. Ani na Boże Narodzenie, ani na Wielkanoc, nie pojechałem do Lwowa. Ojciec dwukrotnie przysyłał listy do szkoły, wykpiwał się chorobą i obiecywał, że w czerwcu przyśle kogoś po syna.

1888

Pod koniec czerwca do Buczacza przyjechał sam Demko, aby mnie zabrać do Lwowa. Gdy tylko go ujrzałem, zrozumiałem, jak bardzo mi go brakowało. Wyglądał olśniewająco. Miał szczupłą, męską, wąską twarz, oczy tak czarne i błyszczące, że prawie przeszywał mnie nimi na wylot. Usta miał czerwone jak maliny, pełne, pyszne. Gdy się uśmiechał, obnażał rząd śnieżnobiałych zębów. Włoski na jego umięśnionych rękach odbijały światło słoneczne. Miał drobne dłonie, również pokryte drobnym, czarnym włosiem. Wyszywana koszula ładnie opinała jego muskularny tors, zawadiacko sterczały pod nią wyglądające jak nabrzmiałe sutki. Uśmiechnąłem się do niego. On uważnie przyjrzał mi się i powiedział, że zmężniałem. „Wyglądasz już nie jak chłopczyk, a jak junak”. I zaiste przestał na mnie patrzeć jak na biedne dziecko, a zaczął jakoś tak inaczej. Wyzywająco i czupurnie.

Gdy dotarliśmy do domu, ojca nie było. Była Orysia, która rzucała mi zalotne wejrzenia, był Iwan, który przywitał mnie serdecznie i z rozczulonym wzrokiem pykał fajkę. I była oczywiście Paraska, która aż popłakała się ze wzruszenia, że jej „synoczok” wrócił po ponad roku do domu i nawet na święta nie był. Paraska nakarmiła mnie i Demka i wróciła do swoich obowiązków. Gdy zapadł już zmrok, poszedłem do

swojego pokoju. Po chwili jednak zastukał do mnie Demko i nieśmiało wszedł do środka. „Chcesz mi opowiedzieć, jak tam było?” – zaczął niepewnie. Pokazałem mu miejsce obok siebie na łóżku i Demko położył się jak rok temu. Na stoliku przy łóżku paliła się nocna lampa, bardzo chciałem mu wszystko opowiedzieć. Leżeliśmy blisko siebie, przytuleni, ja zaś paplałem i paplałem. Gdy już z grubsza wylałem wszystkie swoje żale, zapadła na krótko cisza. Przerwał ją Demko. „Pamiętasz, jak rok temu chciałeś zobaczyć mojego wacka i ja ci powiedziałem, że porównamy, jak twój podrośnie” – zapytał. „Jasne, że pamiętam” – odparłem ze ściśniętym gardłem. „I co? Podrósł ci?” – szepnął Demko. „Zapewne nieco tak” – rzekłem – a chcesz porównać?” „Chcę – szepnął Demko”. I bez słowa ściągnął swoje spodnie i gacie. Jego wielki zwisak był stwardniały i sterczał do góry. „Mój jest zwiotczały” – szepnąłem. I tylko rano robi się taki naprężony. To teraz nie porównamy”. „Musisz go trochę podrażnić, wtedy urośnie – powiedział zduszonym głosem Demko. Jeśli chcesz, to ja spróbuję”. Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Miałem się zgodzić? Odmówić? Demko uznał moje milczenie za przyzwolenie i wsunął mi rękę pod pasek od spodni i ściągnął je razem z bielizną. Zaczął delikatnie dotykać mojego wacka i ten faktycznie zaczął twardnieć. Byłem zdziwiony, bo tak było zawsze tylko rano, dopóki się nie odlałem. Było to przyjemne odczucie, jakiego dotąd nie znałem, z niczym nie mogłem go porównać. Byłem nieco zawstydzony, ale nie chciałem, aby Demko przerywał. Ściągnął mi napletek

i zaczął mi masować prącie, miałem rzeczywiście wrażenie, że on rośnie i rośnie. Onieśmienie jednak przebiło się przez pokłady podświadomości i szepnąłem: „Może już wystarczy. Chyba więcej nie urośnie”. „Cały czas rośnie, nie można teraz przerywać” – dobiegł do mnie gorączkowy szept Demka i naprawdę nie chciałem, żeby przerywał. Było mi tak błogo, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, chciałem tylko, żeby Demko nie przerywał i żeby ta chwila trwała wiecznie. Nagle pociemniało mi w oczach, moje ciało wstrząsnął skurcz i poczułem, jak z mojego zwisaka wylatuje pod wielkim ciśnieniem jakaś ciecz i zalewa mi brzuch. Kręciło mi się w głowie, czułem, że tracę przytomność. Jednocześnie przeraziłem się. Zrozumiałem, że umieram i z moim ciałem stało się coś strasznego. Przerażony jęknąłem i spojrzałem z trwogą na Demka. Ten jednak nie zdawał się dostrzegać żadnego niebezpieczeństwa, wpatrywał się we mnie z czułością. „Demko! Musimy natychmiast wezwać Iwana i Paraskę, zobacz, ja umieram, coś mi pękło na dole, niech oni coś na to poradzą! – prawie krzyczałem ze strachu”. Demko parsknął śmiechem. „To twój pierwszy raz? Nigdy wcześniej nie trzepałeś kapucyna?”. W głowie mi się kręciło i nie mogłem zebrać myśli. To określenie „trzepać kapucyna” nie było mi obce. Słyszałem je wiele razy w Buczaczu od starszych kolegów, ale nie wiedziałem, co ono oznacza. Wciąż z lękiem wpatrywałem się w Demka. „Nie bój się, panyczku” – roześmiał się Demko. Każdemu chłopcu to się zdarza. Jeśli chcesz, to ja ci pokażę, że mi również. Pokazać

ci?”. „Pokaż” – odparłem. Demko począł ugniatać swojego członka, tak samo, jak mojego przed chwilą i dosłownie prawie od razu jęknął i na jego brzuch pociekło to samo, co mnie, tylko mniej i bielsze. „Jest mniej i jaśniejsze” – zgłosiłem zastrzeżenie. „Tak!” – znów zaśmiał się Demko. „Bo ja opróżniam swoje schowki dwa razy dziennie. Jeśli zrobisz to zaraz drugi raz, to też będzie mniej i będzie jaśniejsza barwa. Chcesz spróbować?” Zgodziłem się. Demko przyniósł z łazienki ręcznik, wytarł nas obu i znowu wziął w palce mojego ptaszka. Ten prawie od razu naprężył się. Demko chwilę gładził go palcami i nagle rzekł: „Zamknij oczy, połóż głowę na poduszkę i nie myśl już o swojej niby chorobie”. Tak zrobiłem. Demko zaczął pieścić mnie językiem i ustami. To było najcudowniejsze doznanie całego mojego dotychczasowego życia i wiedziałem, że nigdy z niego nie zrezygnuję i zawsze już będę chciał doświadczać tej zmysłowej przyjemności. Byłem jak w innym świecie, w którym nie ma mojego ojca, Buczacza i ukradzionych krajcarów. Czarne oczy Demka wirowały pod moimi powiekami, zniewalał mnie jego uśmiech, czułem, że zbliża się to dopiero co poznane mrowienie w podbrzuszu. I wtedy Demko wyjął mojego ptaka z ust i masował go dalej ręką. I ponownie nadszedł szczyt tego podrażnienia cielesnego, moje ciało przeszedł skurcz i ponownie z wacka wytrysnął płyn. Było go zaprawdę mniej i był jaśniejszy. Demko miał rację. Wytarł mnie ręcznikiem i poszedł go zanieść do łazienki. Gdy wrócił, ja już spałem. Zgasił lampę i wymknął się do siebie.

Gdy się obudziłem następnego dnia, wacek, jak co rano, stał. Wiedziałem już, jak mogę spożytkować ten stan i zrobiłem znów to samo, co przed snem. Podobało mi się coraz mocniej. Wyskoczyłem z łóżka, umyłem się i pogałem na śniadanie do Paraski. Ojca nie było. Tego samego dnia wieczorem Demko znowu do mnie przyszedł i znowu chciałem zrobić to samo, co rano. Wolałem jednak, żeby mojego wacka drażnił Demko. Jego męskie, spracowane dłonie miały twardą, szorstką skórę, było mi przyjemniej, gdy to on mnie dotykał. Tak minęło kilka dni, ojciec czasem przyjeżdżał do domu, ale nie obchodziłem go. Zapytał, jak tam w szkole, ale nie słuchał odpowiedzi, potrzymał na kolanach Kasię przez kilka minut i odprawił ją razem ze mną do Paraski, sam zaś oddał się lekturze czasopisma.

Pod koniec lipca Demko wyjechał na dwa tygodnie na wieś. Tęskniłem za nim.

Podczas nieobecności Demka we Lwowie, Orysia nie przestawała mnie kokietować. Uśmiechała się zalotnie i też mówiła, że zmęźniałem w szkole w Buczaczu. Któregoś wieczora zapytała, czy pamiętam zabawę w misia, który zlizywał z niej miód. Pamiętałem i swym pytaniem na nowo rozpałała moją wyobraźnię. Orysia zaproponowała, że dziś wieczorem, tym razem bez krajcarów, możemy zamknąć się w pokoju Demka i pobawić się. Zgodziłem się żywo. Scenariusz zabawy był taki sam. Orysia zwilżyła piersi, brzuch i krocze miodem. Ja namiętnie lizałem i pieściłem jej jędrne, wspaniałe piersi, później zaś, szybko wylizawszy

brzuch, na długo wpilem się ustami i językiem w jej kobiecość. Orysia kilkakrotnie wpadała w dygot, prężyła się i wyginała, kilkakrotnie opadała wyczerpana na plecy, ja nie przestawałem pieścić jej rozżarzonego płciwa. To nie było pierwsze baraszkowanie z Orysią, ale po raz pierwszy mój zwisak naprężył się na całego. Poprosiłem Orysię, aby go pogładziła. Jej reakcja mnie zdumiała, zachowała się jak oblana wrzątkiem. „Nie!” – wrzasnęła. „Widzę, że jesteś już za dużym chłopcem na zabawę w misia, bo zachciewa ci się tego, co wszystkim chłopom”. „Ale dlaczego nie chcesz go popieścić?” – wydukałem. „Demko nigdy mi nie odmawia” – dodałem. „Nie ma się czym chwalić – odparła Orysia – to, co robicie, uchodzi za nieprzyzwoite, za grzech, świństwo!”. „A to, co my robimy, to jak nazwać?” – zapytałem zdumiony. „Do dziś to były niewinne figle – krzyknęła Orysia i zerwała się z łóżka – ale koniec!

Od teraz już mnie nie tkniesz!”. I wybiegła z pokoju Demka.

Orysia mnie nie dostrzegała, Demka nie było. Cierpiałem bardzo, czułem się odtrącony przez dwie osoby, które dostarczały mi tego, co było mi potrzebne. Bez nich mój świat walił się w gruzy. Wiecznie nieobecny ojciec, za mała siostra. Z Paraską czy Iwanem nie mogłem o tym wszystkim pomówić, ponieważ mogliby oni zgodzić się z Orysią, że jestem grzeszny i zły. Gryzłem się w milczeniu i tylko od czasu do czasu chodziłem do Iwana i pytałem, kiedy wróci Demko. Iwan nie widział, powtarzał jedynie, że chłopak ma dobrą pracę na wsi i może wróci jesienią, gdy będzie więcej

pracy w ogrodzie. Markotniałem. Jesienią ja miałem już gnić w Buczaczu.

Życie jednak robi miłe niespodzianki i pod koniec sierpnia Demko przyjechał do Lwowa. „Chciałem się zobaczyć z tobą, zanim pojedziesz do Buczacza” – rzekł, uśmiechając się do mnie w taki sposób, że ugięły się pode mną nogi. „Może pójdziemy na spacer?” – dodał. Szczerze mówiąc liczyłem na coś innego niż spacer. Chciałem, żeby mnie dotykał swoimi męskimi, choć drobnymi dłońmi, żeby mnie pieścił tak, jak wcześniej. Mój ptaszek zresztą tego się dopominał, co pewnie Demko zauważył, zerkając na moje portki. „Orysia powiedziała, że to, co robimy, to grzech i świństwo” – wypaliłem znienacka. Demko osłupiał i wybałuszył na mnie oczy. „Powiedziałeś Orysi o naszych spotkaniach?” – z niedowierzaniem zagadnął Demko, blady jak ściana. „No, tak! Wszakże to tylko zabawa!” – tłumaczyłem się. „Zabawa!? Ach, tak. Dla ciebie to tylko zabawa ... dzieciaku – rzekł ze smutkiem Demko i powtórzył: smarkacz z ciebie”. Wyjechał jeszcze tego samego wieczora.

Skończył się sierpień, tym razem do Buczacza zawiózł mnie Iwan. Gdy przekraczałem próg gimnazjum, czułem, jakby zamykały się za mną wrota piekieł. Nie chciałem, rozpaczliwie nie chciałem tak być. Pragnąłem wrócić do Lwowa i wszystko tak urządzić, aby było jak dawniej. Żeby Orysia się do mnie śmiała i pozwalała pieścić jej jędrne piersi i żeby Demko dotykał mojego wacka. W trzeciej klasie gimnazjum pozwalano nam już więcej wychodzić do miasta. Korzystałem z tego, snułem się bez celu po Buczaczu i nie

wiedziałem, co ze sobą zrobić. W połowie października, gdy ciemniało już szybciej, ale wciąż było jeszcze w miarę ciepło, lubiłem włóczyć się nad Strypą i przesiadywać na ławkach w parkach i skwerach, które przylegały do rzeki. Marzyłem, że nagle dostrzegę w mrowiących się mieszkańcach miasteczka Demka lub Orysię. I gdy tak siedziałem w parku na ławce, nagle spostrzegłem kobietę w letniej bluzce. Miała bardzo duże piersi, większe jeszcze od tych, którymi mogła pochwalić się Orysia. Gdy stąpała wolno, one miarowo poruszały się w górę i w dół. Chciałem podbiec do niej i wtulić między nie głowę, zacząć je ścisnąć i masować. Zalała mnie fala takiego żaru, że nie mogłem opanować drżenia rąk i nóg. Obudziło się we mnie nieprzeparte pragnienie i wiedziałem, że muszę natychmiast skoczyć w pobliskie krzaki i zrobić sobie dobrze. Pognałem tam co siły, rozpiąłem rozporek i począłem bez opamiętania trzepać kapucyna. Nie uzmysławiałem sobie, gdzie jestem i czy tam może być jeszcze ktoś. Nagle zmartwiałem, ponieważ poczułem czyjąś dłoń na ramieniu i na swoim wacku. „Nie bój się – usłyszałem szept młodego mężczyzny – dogodzę ci, zaspokoję”. Nieokiełznana zwierzęca żądza okazała się o wiele silniejsza niż przestach, ponieważ nie odepchnąłem tego chłopaka, również nie uciekłem. On zaś błyskawicznie uklęknął i wpakował sobie mojego ptaka do ust. Wykonał kilka ruchów i doznałem rozkoszy prawie od razu. Mężczyzna wstał i wtedy mogłem mu się przyjrzeć. Był również drobny jak Demko i też śniady, choć wyglądał raczej na Żyda. „Jestem Moryc, spotkamy się jeszcze?” –

zapytał szybko. „Nie wiem” – wymamrotałem i oddaliłem się śpiesznie.

W Buczaczu przepędziłem jeszcze tylko dwa miesiące. Moryca spotkałem już na drugi dzień, siedział na ławce w tym samym miejscu. Codziennie bez słowa szliśmy w krzaki, tam ścigał mi spodnie i dogadzał. Podobało mi się. Nie przeszkadzały mi nawet pierwsze przymrozki i rzedniejące krzaki. W każdej chwili mógł nas ktoś zobaczyć, gdyby tylko szedł ścieżką nad rzeką. Kto by jednak wałęsał się po zmroku w listopadowy wieczór? Chyba może tylko tacy, jak my. Zresztą Morycowi zabierało to, co czynił, średnio minutę. Gdy widzieliśmy się po raz ostatni, on nadal nie znał mojego imienia, a ja nie widziałem nigdy jego obrzezanego małego.

W buczackim gimnazjum, przypomnę: katolickim, wraz z nadejściem nowego roku pojawił się nowy uczeń: Herszko Lieberman^[Z]. Był synem przechrzty z Drohobycza. Wszelako dla moich kolegów z chrześcijańskiej szkoły cały czas pozostawał parchem. Może dlatego było to już jego trzecie, po Stryju i Borysławiu, gimnazjum. Był starszy ode mnie o pięć lat, jednak inni się go nie bali. I nie zamierzali się go bać. Niemalże od razu zakwalifikowali go jako parcha, miał mieć nawet gorzej niż najmłodsi. Gdy zażądali od niego prania swoich gaci, on odmówił. Urzekło mnie to. Wzbudził mój szacunek, gdy śmiechem zbył groźby wpuszczenia mu ślimaka do dupy. Była to zapowiedź brutalnego gwałtu, najczęściej przynosiła skutek. Gdy rzuciło się na niego trzech drągali, jego położenia stało się niegodne

pozazdroszczenia, wtedy ja pospieszyłem mu z pomocą. Zwabiony hałasem, do sypialni wparował ojciec Tymoteusz, wychowawca, który akurat wtenczas sprawował nocny dyżur. Zorientował się prędko, że trzech chrześcijan bije Żyda i jeden usiłuje go bronić. Jednakowoż słownie natarł na Herszka. Wtedy wtrąciłem się ja i rzekłem, że ta trójka rzuciła się na Herszka bez powodu, wcześniej jeszcze drwili z niego. Zakonnik odparł z kamienną twarzą, że droga Żyda do chrześcijaństwa musi być długa i cierniowa i Herszko winien z pokorą nieść ową koronę cierniową. „Pleciesz od rzeczy, klecho! – wyrwało mi się może nieco za głośno”. Ową noc, jak i następną, spędziłem w kozie, w której ziało był taki, jak na zewnątrz. Owijałem się jak mogłem rzuconym mi kocym, ale niewiele to dało. Dostałem wysokiej gorączki, kaszlu, traciłem przytomność. Mnisi usiłowali mnie leczyć najprzód swoimi metodami, ziółkami i modłami, wszelako po tygodniu mój stan był tak ciężki, że odwieziono mnie do domu, do Lwowa. Gdy tam trafiłem, miałem rozwinięte zapalenie płuc. Paraska wypłakiwała oczy i czuwała przy mnie całymi nocami, na zmianę z Orysią i Iwanem. W łóżku spędziłem dwa miesiące. O powrocie do Buczacza nie było nawet mowy, Paraska ubłagała ojca, aby zapisał mnie na powrót do gimnazjum we Lwowie. Ojciec uległ jej namowom, acz niechętnie.

1889

W marcu byłem już prawie zdrów, do wakacji byłem zajęty ozdrowieniem, korepetycjami z guwernantką Kasi i szkołą. Do czerwca udało się nadrobić wszelkie zaległości wywołane chorobą. Do czwartej klasy gimnazjum miałem chodzić już we Lwowie.

Którejś nocy, może w kwietniu, zanim zasnąłem, dobiegły mnie jakieś niespotykane wcześniej dźwięki z sypialni ojca. Zazwyczaj dochodziło stamtąd jego potężne chrapanie. Lub cisza. Teraz jednak roznosiło się miarowe popiskiwanie, pojękiwanie, było mi ono, w dodatku, znajome. Olśniło mnie dostatecznie szybko, że to Orysia. Wszak jej jęki i popiskiwanie w czasie naszych zabaw słyszałem wielokrotnie. Zwłaszcza gdy lizałem i pieściłem ją między udami. Rzęzenie i postękiwanie wzmagало się. Naraz usłyszałem ryk swojego ojca i przenikliwy pisk Orysi. To była ona. I ona zabawiała się z moim ojcem. Zemdlilo mnie i odczułem do niej największą odrazę.

Ale jeszcze większą – do ojca. Zakradłem się pod drzwi sypialni ojca i podsłuchiłem rozmowę. Mówili sobie na „ty” i z paplaniny Orysi pojąłem, że to nie była pierwsza noc. I w ogóle nie jedna z pierwszych. Uprzytomniłem sobie, że w czasie mojej choroby to już trwało, a może i wcześniej.

Odgłosy amorów mojego ojca z Orysią roznosiły się po domu nieomal co noc. Na koniec maja i w czerwcu, nocne harce Orysi z ojcem ustały. Bynajmniej nie z powodu mojej szkoły. Wtenczas widywałem Orysię z rzadka, najczęściej zapłakaną i smutną, ojciec był zasepiony, nie odzywał się ani słowem i beształ mnie i Kasię przy byle sposobności. Godzinami naradzał się w gabinecie z Paraską i Iwanem. I jeszcze w czerwcu, po kilku tygodniach przepełnionych smutkiem, gruchnęła niby to wspaniała nowina. Orysia wychodzi za mąż za Demka! Mój świat z łoskotem zawalił mi się na głowę. Nienawidziłem Orysi za to, że gziła się z moim ojcem, ale równocześnie obłąkańczo pożałowałem ją jeszcze bardziej. Za Demkiem tęskniłem, wyglądałem go i łudziłem się, że kiedyś wróci do Lwowa. Do mnie, nie po to zaś, żeby żenić się z Orysią. Gdy myślałem, że teraz on będzie ją pieścić i lizać i równocześnie ona będzie całować jego usta, ogarniała mnie bezbrzeżna rozpacz. Gdy wspominałem zapach Orysi, jej rumieńce, wilgotną, słodką, ciepłą szparkę i zamglony wzrok i uświadamiałem sobie, że teraz to Demko będzie wywoływał przeciągłe spazmy jej ciała, a nie ja, to targała mną wściekłość i niewymowna boleść. Myśl, że to nie mnie całować będą jego pełne, malinowe usta i nie mnie będzie obejmować i tulić, doprowadzała mnie do szału i obłędu. Nienawidziłem całego świata za to, co miało się stać.

Kiedy ojciec, nieznoszącym sprzeciwu tonem, oznajmił, że jesteśmy zaproszeni na wesele, byłem gotowy go zabić. Orysia chodziła dumna jak paw, Paraska popłakiwała po

kątach, Iwan w spokoju pykał swoją nieśmiertelną fajkę. Demka cały czas nie było, przyjechał dopiero na wesele. Wraz z nim przybyło około czterdziestu różnych osób. Gdy już sobie podochocili i zaczęli śpiewać sprośne piosenki o młodych i o tym, co będą robić w noc poślubną, byłem najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem na świecie. Pożerałem Orysię wzrokiem, jej opięte piersi w cienkiej wyszywanej bluzce tumańczyły mi umysł. Demko był piękny. Męski, uśmiechnięty, świeży, dla każdego miał dobre słowo, z każdym porozmawiał. Unikał tylko mnie. Znałem działanie gorzałki, posmakowałem jej jeszcze w Buczaczu. Wiedziałem, że przytępia zmysły i umysł i tego w tamtej chwili potrzebowałem. Sam sobie nalałem i wychyliłem kilka kieliszków. Wszelako wódka nie zadziałała tak, jak oczekiwałem, a jeszcze bardziej wyostrzyła moje zmysły i pobudziła emocje. Byłem na granicy szaleństwa. Wpatrywałem się w piersi Orysi, w jej usta, rumieńce, w usta Demka, jego drobne męskie zarośnięte dłonie i czułem, że albo zaraz umrę, albo stanie się coś strasznego. Nagle poczułem, że czyjeś mocne ręce unoszą mnie z ławy i usłyszałem nad sobą głos Iwana: „Oj, synoczku, chyba po raz pierwszy spróbowałeś gorzałki. Nie wyglądasz najlepiej. Odprowadzę cię do domu”. Bezwolnie udałem się z nim i zwałem się do łóżka. Zapadłem z męczący półsen. Gdy się ocknąłem, nie było już słychać muzyki, goście się rozeszli, sprzątano ze stołu. „Noc poślubna” – przemknęło mi przez myśl. Wiedziałem już, że zakradnę się pod okno sypialni państwa młodych i będę ich podglądał.

Przemknąłem się w stronę czworaków i od strony parku zbliżyłem się do mieszkania, które mieli zajmować Orysia z Demkiem. Było tam ciemno. Świeciło się w pokoju, który dotąd zajmował Demko. Zakradłem się i tam. Widziałem przez okno, jak Demko rozbiera się i kładzie się do swojego starego łóżka. Jakiś zew popchnął mnie do wejścia do budynku, chciałem iść do niego do sypialni i porozmawiać, pobyć, cokolwiek. Lecz w drzwiach stała Orysia i nie pozwoliła mi wejść do środka. „Що ти тут робиш, паничу? [8] – zapytała drwiąco. „Ja ... ja ... chciałem zobaczyć się z Demkiem” – wydukałem. „Przecie Demko ma teraz żonę, żoną ma się zajmować, nie tobą, już mu głupoty z głowy wywietrzały, wyrósł z waszych zabaw” – syknęła. Odwróciłem się na pięcie i zdruzgotany powlokłem się do domu. Położyłem się do łóżka i rozpaczliwie zaszlochałem. „To koniec, to koniec, nie ma już sensu żyć dalej” – powtarzałem łkając. Gdy się trochę uspokoilem, zaczęły do mnie dochodzić znajome już dźwięki. Orysia gziła się z moim ojcem. Ona postękiwała, on ryczał. Nic już z tego wszystkiego nie pojmowałem. Oszołomiony, umęczony, zasnąłem.

Orysia co noc przemykała się do mojego ojca i co noc słyszeć było, że ona potrafi go zadowolić. Chodziła do niego nawet w widocznej ciąży. Demko trochę pracował na wsi, trochę pomagał Iwanowi z ogrodem mojego ojca. Ja się do niego nie zbliżałem, on nie szukał mojego wzroku. Nienawidziłem go za to, że ożenił się z Orysią. Nienawidziłem go za to, że nic z tego nie pojmowałem.

W grudniu urodził się Mykoła. Ochrzcili go w ukraińskiej cerkwi. Żeby pomóc żonie z dzieckiem, Demko przeniósł się do Lwowa na stałe. Po trzech miesiącach Orysia znowu zagościła w sypialni mojego ojca. Ja jednak wiedziałem już, że coś musi się rozstrzygnąć, że tak dalej być nie może. W mojej głowie wykrystalizował się plan.

Musiałem odzyskać Demka. Odzyskać, albo się zabić.

1890

Powrót do gimnazjum we Lwowie oznaczał zmianę kolegów i nauczycieli. Po katordze w Buczaczu doceniłem normalność szkoły we Lwowie i polubiłem ją. Z przedmiotów najbardziej lubiłem język polski, łacinę, historię i trochę język niemiecki, choć nie aż tak bardzo. Mieszkając we Lwowie, narodowościowym tyglu, miałem historyczny mętlik w głowie. Pamiętałem, jak Iwan przedstawił mi swoją wersję legendy o Lechu, Czechu i Rusie, co na to odpowiedział indagowany ojciec i jak zareagował nauczyciel. Polska wciąż nadal opłakiwała Józefa Ignacego Kraszewskiego i wszędzie można było dostać jego powieści. W bibliotece gimnazjalnej była cała seria jego *Dziejów Polski*, które przeczytałem w całości. Po kilku pierwszych tomach zrozumiałem, że rację miał jednak prosty Iwan, nie zaś niby to świątły nauczyciel historii. Lwów był ruski, pierwsze powieści Kraszewskiego pokazywały, że Ruś kiedyś była potęgą i Polanie bardzo jej potrzebowali do wzmocnienia swojego położenia w Europie.

Często chodziłem do Paraski i Iwana i opowiadałem im, co przeczytałem w powieściach Kraszewskiego, czasem czytałem im całe fragmenty. Bardzo to lubili. Zdarzało się, że do wspólnej kuchni dla mieszkań Iwana i Paraski